



Foto: A.Mason

Adam Cebula "Moje sądenie sędziów Powstania"

nimfa bagienna



Foto: A. Mason

Chciałem zacząć od tego, że podziwiam łatwość wygłaszania przez ludzi historycznych sądów. To nieprawda. Nie podziwiam. Gdy się już stanie, wszyscy są mądrzy, sukces ma wielu tatusiów, a klęska walczy w sądach o alimenty. Tak jest zawsze.

Z nadejściem kolejnej rocznicy powstania warszawskiego dowiedziałem się o jego przywódcach, że ten był narwany, tamten ulegał otoczeniu, a w ogóle to wybuch powstania był jakimś koszmarnym błędem, prowokacją sowiecką albo strasliwym zbiegiem okoliczności. Przy czym pomijam tu wygłupy Janusza Korwina-Mikke, pomijam to, co wygadują młodociani członkowie partii politycznych; tu chodzi o podobno poważne wypowiedzi podobno poważnych historyków.

Cóż, lata życia przeleciały, akurat zdążyłem się załapać na kilka ważnych historycznych wydarzeń. Na wszelki wypadek zdementuje jeszcze raz pogłoskę wyprodukowaną przez pewnego znanego publicystę i pisarza - dużo poważniejszego pisarza i publicystę niż ja jestem - który mi publicznie i najwyraźniej w dobrej wierze zadał pytanie o udział w walkach na plaży Omaha. Nie, nie było mnie tam. Ale pamiętam już, jak Wolna Europa relacjonowała inwazję na Czechosłowację.

Pierwsza Solidarność to już moja współodpowiedzialność. Zakładałem NZS, zaliczyłem wszystkie strajki na uniwersytecie. No i pamiętam klęskę stanu wojennego. Tak, klęskę. Tak się mówiło o tym, co się stało. Nie wszyscy to widzieli w takich kategoriach, nie zawsze, ale gdy stłumiono wszystkie

strajki, gdy nie udawało się w prosty sposób przywrócić roli wolnych związków zawodowych, to głosy, że po raz kolejny przepiliśmy swoją szansę, były całkiem częste i donośne.

Gdy ktoś przegra, sądzi się go wyjątkowo łatwo. Podobno powstańcy doprowadzili do zniszczenia Warszawy. To nieprawda: Warszawa została celowo zburzona, a właściwie planowo bezcelowo. Już w okolicy 1940 roku powstał tzw. plan Pabsta, czyli projekt wykonany przez Huberta Grossa i Ottona Nurnbergera pod kierunkiem Friedricha Pabsta, zakładający wyburzenie części zabudowy stolicy i zamienienie jej w osiedle dla niemieckiej elity, oraz zmianę charakteru miasta na prowincjonalny węzeł komunikacyjny. Przy okazji planowano zmniejszenie populacji miasta do ok. 130 tysięcy mieszkańców ([Zburzenie Warszawy](#) oraz [Plan Pabsta](#)). Wyrok na miasto został wydany bardzo wcześniej i nie miał on nic wspólnego z działalnością AK. Technische Nothilfe, oddziały, które dokonywały wyburzeń po powstaniu, robiły coś, co zostało dawno zaplanowane - z całą bezsensownością wojennej furii niszczenia.

Czy stolica mogła uniknąć zniszczeń? Czy posłuszeństwo Niemcom dawało szansę na ocalenie i zabudowy, i ludności cywilnej? No cóż, Wrocek, w którym mieszkam, był niezwykle posłuszny jako miasto niemieckie. Jak Zabłocki na mydle wyszła na tym posłuszeństwie i ludność, i substancja miejska. Za Wikipedią: zginęło ok. 170 tysięcy cywilów. Część miasta w okolicy dzisiejszego Placu Grunwaldzkiego została zburzona przez Niemców pod lotnisko. Od południa do centrum, miasta praktycznie nie było (dzieło niemiecko-radzieckie). Podobnie zdarzyło się np. w Gdańsku. Z tej perspektywy wywołanie powstania - wręcz odwrotnie - dawało szansę na ocalenie miasta. O ile tylko sprawy się by potoczyły tak, jak tego dowódcy AK oczekiwali.

Czy powstanie było samobójstwem? Czy była to jedynie klęska bez żadnych korzyści dla narodu? Cóż, dziś jakoś zapomniano, jak naprawdę wyglądały pierwsze lata komuny. To się działo jeszcze przed moimi narodzinami, ale znam pewnik, że AK głosiło hasło stania z bronią u nogi. Schemat propagandowy był taki, że jedynie na pół mityczne bandy AL (Armia Ludowa - chyba trzeba przypomnieć) walczyły (ewentualnie z Batalionami Chłopskimi) w obronie ludności cywilnej, zaś AK zajmowała się Bóg wie czym. W najgorszym okresie stalinizmu próbowano przypiąć AK łąkę kolaborantów.

Tu wątek fantastyczny - bo czym innym, jak nie tworzeniem światów równoległych, są dywagacje typu „co by było, gdyby powstanie nie wybuchło”? Z wszelkimi zastrzeżeniami, które kiedyś wyłuszczyłem, jakie to niebezpieczeństwa niesie podobna gdybologia, możemy powiedzieć, że komunistom byłoby wielokrotnie łatwiej niszczyć polskie elity. To pewne. Legenda powstania sprawiała, że „Barwy walki”, hagiografia AL pióra Mieczysława Moczara, funkcjonowała gdzieś pod tytułem „Barwy pralki”, i podając tę nazwę pani bibliotekarce, dziecię otrzymywało właściwe tomiszczce, bo oczywiście to była szkolna lektura. Nawiasem mówiąc, niezła fantastyka. Opowieści, że AK nic nie robiło, a tylko dzielni komuniści wysadzali mosty i walczyli z oddziałami pacyfikacyjnymi na Lubelszczyźnie, dzięki powstaniu przyjmowano pukaniem się w czołko, mniej więcej tak, jak traktowano opowieści o sukcesach radzieckiej nauki.

AK w propagandzie komunistycznej prawie się zrosła z polskimi przedwojennymi elitami. Komuna bardzo chciała zbudować własny obraz tych elit, dekadentkich, bezwolnych, niezdolnych do działania. Gołym okiem widać, że przez powstanie diabli wzięli te plany. Władza musiała mieć pełną świadomość, że nikt nie uwierzy ani w to, że „londyńskie” podziemie nie walczyło, ani w to, że (muszę użyć terminu współczesnego, wymyślonego przez „patriotów”) „wykształciuchy” były prawie niezdolnymi do samodzielnego życia lekkoduchami. Musiała, jeśli chciała zachować jakąś choćby szczątkową wiarygodność, w końcu uznać żołnierzy AK za przynajmniej równoprawnych kombatantów. W końcu dzięki sławie powstania trzeba było odpuścić i oczernianie, i prześladowanie nie tylko AK-ówców, ale i tych wszystkich, którzy przed wojną zdobyli choćby maturę.

Ten proces zaczął się po śmierci Stalina i odbywał się jeszcze na moich oczach. Mnóstwo ludzi po prostu wreszcie zostawiono w spokoju. Mogli awansować zgodnie ze swoim wykształceniem, argument, że są podejrzanym elementem, przestał być używany na zebraniach Podstawowych Organizacji Partyjnych, i mogli w normalnym trybie dostawać mieszkania, ich dzieci mogły się dostawać na studia, a nawet ten i ów w końcu zostawał uznawany za kogoś godnego pokazania w telewizji albo wręczenia mu orderu.

Gdyby nie powstanie, losy dziesiątek, a może setek tysięcy ludzi byłyby tragiczne. Warto sobie uświadomić, że czy to pisarz, który nie może pisać, czy lekarz, który nie może leczyć, czy naukowiec wyrzucony z uczelni, z punktu widzenia społeczeństwa jest tak samo stracony jak człowiek, który stracił życie. Proces rehabilitacji niesłusznej ideowo części społeczeństwa przywrócił do normalnego funkcjonowania ogromną liczbę wybitnych jednostek, wielu pewnie uratował dosłownie życie. Bilans tych procesów i tragedii, która je zapoczątkowała z perspektywy czasu wydaje się jednoznacznie pozytywny. Tragedia dotknęła jednego miasta, z jej owoców skorzystał cały naród.

Tym bardziej wydaje się to prawdopodobne, że gdy zaczniemy gdybać, co by było, gdyby powstania nie było, to bardzo prawdopodobnym scenariuszem są takie same masowe ofiary wśród cywilnej ludności, jakie były wynikiem buntu. Za Wikipedią: ocenia się że tylko podczas ewakuacji z Wrocławia zginęło aż 90 tysięcy osób. To byłyby takie same liczby. Gdyby Niemcy chcieli urządzić jakąś Festung Warschau, to fortyfikacje budowałiby mieszkańcy. Ludność by masowo wysiedlano, nie ma powodu sądzić, że jej los byłby lepszy niż po powstaniu. Ci, co by pozostali, pewnie mieliby znacznie gorzej podczas walk, niż np. wrocławianie w Festung Breslau.

Idąc tropem światów równoległych, można pokazać, jak durnowate są proste oceny historii. Wystarczy przytoczyć odrobinę inny scenariusz wypadków, którego prawdopodobieństwo opiera się na jednym tylko założeniu: a gdyby Niemcy podeszli do wypadków RACJONALNIE? Tak, aby zrobić sobie możliwie najmniejszą krzywdę? A nawet możliwie najwięcej zyskać na tym, co się stało po godzinie W? Pomyślmy. Warszawa miałaby sens jako Festung Warschau, gdyby była częścią jakiejś wartościowej linii obronnej. Otóż był już przyczółek warecko-magnuszewski, co oznaczało, że możliwe było obejście niemieckich punktów oporu i ich odcięcie od własnych wojsk. Rozsądne było obsadzić Warszawę stosunkowo niewielką załogą, licząc na to, że zwiąże ona znacznie większe siły i bronić jej tylko do momentu, gdy zacznie grozić okrążenie przez Sowietów.

Wartość miasta jako węzła komunikacyjnego wraz mostami wynikała z obecności Niemców na prawym brzegu. Ale ten obszar się zmniejszał. Niemcy mieli tu jeden prawdziwy problem: by ich siły nie zostały odcięte od możliwości ewakuacji.

Jaka byłaby ROZSĄDNA reakcja niemieckiego dowództwa na powstanie? Za przeproszeniem powstańców i historii: olać. Wycofać wojsko, dbać o to, by walki nie rozlały się na ważniejsze obiekty, ewentualnie utrzymywać szlaki komunikacyjne. Powstańcy mieli za małe siły, by wystąpić w otwartym polu, praktycznie pozbawieni cięższej broni musieli się ograniczyć do terenu zabudowanego. Nie było sensu taktycznego tłumienia powstania, był sens jedynie jego izolowania.

Skoro już walki wybuchły a Sowietci zdobyli przyczółki za Wisłą, i nie było wielkich szans na zbudowanie linii obrony z Warszawą jako jej częścią, na której by się dało zatrzymać postęp krasnoarmiejców, to należało kinąć w diabły koncepcje tworzenia w mieście jakiejś twierdzy. Rolę ośrodka wiążącego siły mogła odegrać ciągle część prawobrzeżna. Wybuch powstania posłał do diabłów całą ekonomię organizowania tu ośrodka oporu, bo chodziło o by to enpel zaangażował duże siły i środki, w walki na ulicach. Tymczasem trzeba było najpierw samemu zdobyć miasto, tracąc ludzi i sprzęt w podobnej ilości, w jakiej potem - walcząc ewentualnie z Niemcami - powinni go stracić Sowietci. Zysk mógł być tylko wtedy, gdyby Warszawa cały czas była w rękach Niemców.

Sprawa najważniejsza: trzeba by być kompletnie ślepym, by nie zauważyć, że zryw Warszawy jest solą w oku Stalina. Trzeba być kompletnie głupim, by robić swoimi rękami to, czego chce nasz śmiertelny wróg. Warszawa opanowana przez powstańców byłaby pięknym pasztetem, jaki Niemcy mogli podarować Rosjanom. Gdyby jeszcze Wehrmacht „przypadkiem” pogubił w walkach trochę ciężkiego uzbrojenia, mogłoby się zrobić jeszcze zabawniej. Co by się stało dalej, jak Rosjanie potraktowaliby powstańców, to już gdybologia, ale z pewnością PKWN byłby w tych okolicznościach bytem co najmniej podejrzanym...

Najwięcej, co można było zyskać, to konflikt w obozie aliantów, zaś najgorszy scenariusz dla Niemców (dogadanie się AK z Rosjanami) i tak niewiele zmieniał z punktu widzenia taktycznego. O ile niemożliwe było utrzymanie linii frontu na Wiśle i Bugu, miasto i tak było stracone. Z jednej strony możliwość wielkich zysków strategicznych, z drugiej relatywnie niewielkie ryzyko taktyczne. Ryzyko niewielkie, bo Wehrmacht już po kilkunastu dniach powinien się zorientować, że tym razem polityka ma zdecydowany prymat nad doraźnymi zyskami wojskowymi.

Tak, zgadzam się, że wizja Niemców odpuszczających warszawiakom wydaje się absurdalna, ale tylko dlatego, że wbiliśmy sobie do głowy, że okupant zawsze musi się zachowywać właśnie absurdalnie czy okazywać histeryczną nienawiść. Uznaliśmy za oczywiste, że Niemcy zawsze zachowują się irracjonalnie. Jeden drobiazg: tak przedstawiała ich peerelowska propaganda, a naprawdę tak nie było. Odpuścili Kraków, Paryż czy choćby znaczną część Dolnego Śląska. Z tej perspektywy można powiedzieć, że Warszawa nie miała po prostu szczęścia. Naprawdę to właśnie się powstańcom wypomina: brak szczęścia.

Nie, nie twierdzę, że należało ogłosić powstanie. Po prostu pokazuję, jak wielu rzeczy nie wiemy, w jak wielu schematach jest zamotane myślenie. Najgorsze w wystawianiu cenzurek historii jest, że robią to ludzie, którzy prochu nie wączali, siedzieli cały czas bezpiecznie na własnej d..., i którym tylko się wydaje, że wiedzą, jak świat działa. Do głowy im nie przyjdzie, że z historii powinniśmy wyciągać nauki, a nie argumenty dla podbudowy własnego ego. Z perspektywy tego, który musiał wysłuchiwać pouczeń, jak należało uniknąć wprowadzenia stanu wojennego, mogę dodać: nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. Jedyne bowiem, co pewnego wyniknie z głoszenia takich wyroków, to ocena głoszących je sędziów.

Adam Cebula